

Horror Gangsta Story

- Może byśmy się chociaż na szczanie zatrzymali?
- Zaraz się zatrzymamy.
- Przejechaliśmy już ze sto osiemdziesiąt kilometrów, nie namierzają nas.
- Nie sto osiemdziesiąt, a niecałe sto dwadzieścia. To po pierwsze, po drugie nie będę jadł w jakimś gównianym obsranym barze. Przydrożny bar jest za trzydzieści kilometrów. Dojedziemy, zjemy, odpoczniemy, a co najważniejsze, psy omijają tę miejscówkę szerokim łukiem.
- Ta? Jakim cudem? Psiarskie czy blatują?
- Nie wiem. Nie interesuje mnie to. Mam zamiar solidnie się najeść.
- Za parę kilometrów będziemy mijać Big Kahuna. Można by się na chwilę zatrzymać, na hamburgerka albo cheeseburgerka.
- Big Kahuna? To ta Amerykańska konkurencja Mc Donalda i Burger Kinga?
- Nie amerykańska, tylko hawajska. Mają zajebiste burgery, wiem, co mówię. Dużo lepsze od tych z Maca. W zasadzie to nie ma, co porównywać.
- Dajcie spokój. Chyba wytrzymacie trzydzieści kilometrów? Dla tej karkówki warto, uwierzcie mi na słowo.
- Zostajemy tam na noc?
- Nie zakładam, ale też nie wykluczam, zobaczymy. Mamy jeszcze dwadzieścia kilometrów do przejechania. Samochód nie zwraca uwagi. Jak możesz przymknij okno, strasznie wieje, przewieje mi ucho, niedawno miałem zapalenie.

W takich to właśnie okolicznościach, ze stałą prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, jedziemy drogą wojewódzką w stronę baru o dźwięcznej nazwie „Przydrożny”.

- Dobra, jesteśmy – mówię i pierwszy wysiadam z auta. Przyjechaliśmy czarnym fordem tranzitem, wypchanym po sam dach dziełami sztuki. Tak właśnie, dziełami sztuki.

Meble, obrazy rzeźby i takie tam na obecną chwilę wątpliwej wartości gadżety. Nie znam się za bardzo na sztuce, wyglądają ładnie. No właśnie... wyglądają.

Drugi wysiada Andrzej Bogacz. W tym przypadku, absolutnie nijak ma się nazwisko do stanu zamożności jego rodu. Bogacz wysiada i jakby odruchowo, rozgląda się w poszukiwaniu kamer monitoringu. To samo robi Seweryn Klucha. Klucha to ksywa i nazwisko kolesia w jednym.

Tu akurat nie jest dziełem przypadku. Metr osiemdziesiąt wzrostu i waga w liczbie stu trzydziestu kilogramów, czynią z niego grubego gościa.

Przyjechaliśmy we trzech. Zamykam auto i spokojnym, lekko bujanym krokiem idziemy w stronę wejścia do knajpy.

Bogacz jest niemożliwy. Odkąd wysiadł z samochodu, obciął wzrokiem wszystkie stojące w pobliżu damy. Z dwiema z nich zdążył wymienić uśmiechy, do trzech puścił oczko. Andrzejek już przygotowuje poniekąd sobie, poniekąd nam grunt pod kobiece towarzystwo dzisiejszego wieczora.

Nieco ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szczupły, zawsze modnie ubrany z bujną grzywą a' la Elvis Presley, podoba się dziewczynom na tyle by mimo młodego wieku, mieć na koncie kilka bezpowrotnie złamanych serc.

Klucha tymczasem zapina dwa guziki sportowej marynarki, i niczym głowa rodziny Gambino podąża w ślad za nami.

Całą sprawę z niefartowną transakcją dzieł sztuki nagrałem ja, czyniąc to osobiście. Gość chciał tanio pozbyć się kilku trefnych gadżetów. Wiedziałem o tym od bardzo zaufanego człowieka zza wschodniej granicy, niejakiego Jurija. Jurij nazwisko ma, niemniej jest ono w tej chwili zupełnie nie istotne. Znając życie i tak jest fikcyjne. Na dobrą sprawę, to nawet nie wiem, czy Jurij, ma naprawdę na imię Jurij, czy to może tylko jego ksywa. Zabawne, znam jego żonę, córkę, tydzień mnie u siebie gościł, a nie wiem tak banalnych wydawałoby się rzeczy. Facet bardzo mi w życiu pomógł w związku, z czym, poszedłbym za nim w ogień. Ponieważ Jurjemu ufam jak bratu, nie brałem jakiegokolwiek zagrożenia pod uwagę. Wiedziałem tylko tyle, że na spotkanie przybędą polskiego pochodzenia Niemcy.

- Muszą zniknąć na jakiś czas, mają lipę, stąd tak korzystna cena – usłyszałem od Jurija.

Kumpel zaznaczył, aby nie próbować z nimi jakichkolwiek numerów. Ponoć zaprawieni w bojach i takie tam sprawy. Temat był ryzykowny, ale kto nie ryzykuje szampana nie pije.

Przedstawiłem chłopakom sprawę. Wszystko obgadaliśmy i postanowiliśmy podjąć się realizacji transakcji zakupu, wchodząc tym samym w posiadanie wartościowych przedmiotów.

Po wszystkim, całość mieliśmy dostarczyć na Polskę – Białoruską granicę. Stamtąd transport miał jechać do Rosji. Po przekroczeniu przejścia granicznego, auto miało się rozpląnąć w powietrzu jak wszystko, co wjeżdża na teren Byłego Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Trzeba było zainwestować sporą część oszczędności, było to jednak do przyjęcia, mieliśmy grubo zarobić.

To, że nie brałem pod uwagę ryzyka, nie znaczy, że nie brali go pod uwagę moi współnicy.

Na wszelki wypadek, wyznając zasadę „Strzeżonego Pan Bóg strzeże”, zabrali ze sobą karabinki typu skorpion. Mieli je pod marynarkami, zupełnie niewidoczne dla oka postronnego obserwatora.

Niemcy przyjechali na miejsce transakcji pierwsi i pierwsi też wysiedli ze swych aut. Przybyli fordem tranzitem i oplem astrą.

Podeszliśmy z torbami podróżnymi wypchanymi flotą. Gdy nagle jeden z nich, niespodziewanie wsunął dłoń pod połę kurtki. Niczym grom z jasnego nieba, przeszła mój umysł myśl – Sięga po broń!

Przeraziłem się, byłem wszak bezbronny, nie wziąłem ze sobą nawet cholernego gazu czy chociażby teleskopa, o niczym konkretniejszym nie wspominając.

Tymczasem Bogacz z Kluchą wyjęli skorpiony i zrobili... no właśnie. Z karabinków zrobili użytek, tym samym z Niemców sita.

Co się okazało, gościowi telefon w kieszeni wibrował, znaczy zaczął mu wibrować – dzwonić, miał wyciszony dźwięk. Załatwiliśmy pięć osób, błędnie interpretując gest wsunięcia dłoni pod połę kurtki. Na szczęście transakcja odbywała się w ustronnym miejscu. Nawet nie chcę myśleć, co by było gdyby miejsce nie było ustronne.

Nie jesteśmy profesjonalistami, nie powiem byliśmy trochę elektryczni. Oni także. Gość wsunął dłoń w taki sposób... w życiu, powtórzę w życiu nie pomyślałbym, że sięga po telefon. Co nieco przeżyłem i trochę już mimo młodego wieku widziałem.

- No dobra, trudno, zdarza się. Bierzmy towar i spadajmy.

- Bierzmy towar i spadajmy? – Zapytałem nie dowierzając w to, co usłyszałem, a zarazem zobaczyłem.

Na ziemi w kałużach krwi leżało czterech facetów i jedna laska. Ładna dziewczyna, brunetka.

Nagle zaczęła dławić się krwią, dwukrotnie parsknęła czerwoną cieczą, po czym zamarła w bezruchu.

Pięć pocisków, przeszywających na wylot jej klatkę piersiową zrobiło robotę.

Czterech jej kompanów leżało w nienaturalnych pozach.

- Dawaj rusz się, nie ma czasu – zostałem ponaglony przez współnika.

Tym sposobem, na skutek takich właśnie tragicznych okoliczności, wsiadłem do transita wyładowanego dziełami sztuki. Pod siedzeniem miałem dwie torby wypchane gotówką, za którą mieliśmy kupić wieziony towar.

Czterdzieści minut zajęło mi dojście do siebie. Cała akcja z zakupem towaru, jawiła mi się niczym sen, cholerny koszmar. Odcięło mnie tam.

Pierwszy próg przydrożnego baru przekracza Bogacz. Za nim wchodzi ja, ostatni Klucha - przy okazji zamyka drzwi. Knajpa jak knajpa, w tle gra Chris Cornell – Part Of Me. Rozpoznam tę nutę wszędzie.

Przy kilkunastu stolikach siedzi żadna wszelkiej maści rozrywki klientela. Trzeba przyznać, nie jest to klientela najwyższych lotów, a szemrana.

Już na wstępie wkurwia mnie siedzący przy barze, ubrany w skóry flet. Flet w sensie pierwszego wrażenia. Ubrany w skóry pozuje na pseudo motocyklistę od siedmiu boleści. Nie wiem, co to za gość, nie wiem nawet czy faktycznie jest motocyklistą, czy tylko ma takie image. Na zewnątrz nie widziałem zaparkowanego żadnego jednoślada, faktem jest, że mnie wkurwia.

Czym konkretnie? Całokształtem. Włosy zalizane do tyłu na całą tubkę żelu, metro seksualna bródka i wykałaczką w gębie. To jednak jeszcze nic. Nienawidzę jak ktoś gapi mi się w oczy, a ten gość robi to tak bezceremonialnie, bezczelnie i nachalnie, że mam ochotę go rozszarpać. Unikam jego wzroku, nie chcę się niepotrzebnie denerwować, nie teraz.

Siadamy w rogu pod ścianą, idealnie w mroku. Nie każdy nas widzi, my natomiast widzimy zarówno par-kiet, bar jak i wejście do przybytku.

- To żeś wybrał miejscówkę – Do Bogacza dotarło, że nikogo na miły uśmiech nie wyrwie. Jak nie zapłaci, to nie porucha.

- Mnie tam się podoba. Taki klimat z lat dziewięćdziesiątych – mówi Klucha, wskazując wiszące na ścianie powiększone zdjęcie, na którym dawny Boss Polskiej Mafii, niejaki Pershing, siedzi na trybunach, ekscytując się oglądając na żywo walkę Andrzeja Gołoty z Michaeliem Grantem.

Obok wisi plakat z autografem Anity Hegerland i Mikea Oldfielda.

- Nie narzekaj, zamów karkówkę, a od razu uśmiech wróci na twe lico – rzucam w stronę Bogacza.

Na wspomnianą karkówkę przychodzi nam zaczekać, wedle zapewnień sympatycznej blond pani kelner, piętnaście minut.

Jadąc, poczynając od momentu, w którym dotarło do nas, co się stało, nieprzerwanie kminiliśmy, rozważając wszelkie możliwe scenariusze wyjścia z zaistniałej sytuacji.

- Powie się, że to oni zaczęli.

Omnibus, normalnie omnibus. Andrzej Bogacz. Postać absolutnie nieszablonowa. Jeżeli kogoś interesują pytania typu jak można zdawać prawo jazdy trzydzieści razy i nie zdać. Albo jak wyjście z psem zakończyć na dołku. Andrzej chętnie udzieli instruktażu w tych tematach. Mało tego, każdy poprze przykładem z życia. Z prawem jazdy sytuacja wyglądała tak, że pierwszych dwóch egzaminatorów Andrzej pobił. Tak, dokładnie. Pobił ich właśnie za to, że nie zdał, a przy okazji zastraszył, że jak złożą zawiadomienie do organów ścigania to ich pozabija. Pozabijać by nie pozabijał, ale życie zapewne nieco by im uprzykrzył. W Ośrodku Egzaminacyjnym zastanawiano się jak by tu rozwiązać problem. Nikt nie chciał zeznawać, więc nie było czego zgłaszać. Za trzecim razem ktoś wpadł na jakże genialne rozwiązanie. Na egzamin wysłano panią egzaminator. Plan wypalił.

Za żadnym z trzydziestu niezdanych egzaminów, nie szła przemoc. Andrzej miał zasadę, że nigdy nie uderzy kobiety i tego bezwzględnie się trzymał. Zaznaczyć trzeba, że obecność na siedzeniu pasażera pa-

ni Egzaminatorki, w żadnym razie nie powstrzymywała go od kilku awantur z innymi uczestnikami ruchu drogowego. Raz niemalże został postrzelony. Pech chciał, że musiał trafić na jakiegoś emerytowanego wojskowego, policjanta albo po prostu fanatyka militariów. Andrzej zdał dopiero wtedy, gdy nauczył się jeździć na tyle by nie stwarzać zagrożenia na drodze. Dzień ten był w równym stopniu jego świętem, jak i świętem wszystkich osób pracujących w Ośrodku Egzaminacyjnym.

Na dołku wylądował ponieważ rottweiler sąsiada pogryzł ratlerka Marleny, jego ówczesnej dziewczyny. Najpierw złamał sąsiadowi nos, potem zabił jego psa, gdy ten się na niego rzucił w obronie właściciela, na koniec wybił gościowi większość zębów.

- Psiak niczemu nie winien, wiem to – mówił – Właściciel łeb. Co miałem zrobić jak się bydle na mnie rzuciło? Kły miał jak Grizzly, nie miałem wyjścia – tłumaczył, rozkładając ręce w geście bezradności.

Na dwudziestu czterech godzinach izolacji się skończyło. Poszkodowany odmówił składania jakichkolwiek wyjaśnień, o zeznaniach nie wspominając.

Bogacz był twardym, jednakże nieco ograniczonym skurwysynem. W życiu pracował może pół roku u trzech pracodawców, za każdym razem wylatując z pracy z naganą.

Seweryn Klucha, ten to miał boskie życie, a przynajmniej pierwszy jego etap. Do czasu jak jego ojciec żył i zarządzał trzema fermami drobiu, miał jak początek w maśle. Seweryn nauki do szóstej klasy odbierał wyłącznie prywatnie.

Skurczybyk, przyszedł do naszej klasy mówiąc biegle dwoma obcymi językami i jednego się jeszcze ucząc. Należy także dodać, iż był dwa lata od każdego z nas młodszy. Do momentu śmierci ojca, uczył się perfekcyjnie, później coś się z nim stało. Psychologowie i psychiatrzy mówili, że najprawdopodobniej był nad nim w stanie zapanować jedynie świętej pamięci tata. Po jego odejściu, chłopak nie czuł nad sobą przysłowiowego bata. Miał fajne zabawki, więc się z nim kolegowaliśmy. Kiedy jednak dla zabawy zabił rannego gołębia, trochę nas to zniesmaczyło. Pamiętam, że na jakiś czas przestaliśmy się z nim kolegować. Wtedy to zaczęła roznosić się fama, jakoby nie był na osiedlu większego kozaka nad Kluchę. Byliśmy wtedy nastolatkami.

Był duży, nieco otyły, ale też i silny.

Tolerowałem go do czasu, aż nie zlekceważył mnie przy koleżankach. Zaatakowałem pierwszy, najszybciej, a zarazem najmocniej jak potrafiłem. Klucha, chlapiął na tyłek. Co prawda za moment wstał, niemniej nie miał już chęci do kontynuowania bójki. Nie powiem, aby taki obrót spraw nie był moim celem, aczkolwiek gdybym go pierwszy nie trafił, byłoby mi piekielnie ciężko się z nim uporać. Od tamtego pamiętnego incydentu sprzed niespełna dziesięciu laty, obaj zdajemy sobie sprawę ze swych słabości i unikamy wszelkich konfliktów, co nie znaczy, że czasami zaciekle ze sobą nie dyskutujemy. Takim gościom nie zachodzi się za skórę, najlepiej po prostu ich unikać.

Na stół wjeżdża karkówka i piwko. Jedne, drugie, trzecie. Karkóweczka trzeba przyznać wyśmienita. Wieczór nabiera rumieńców. Wspólnie z kumplami, coraz częściej zerkamy w stronę dam.

Kobietki zarówno siedzą przy stolikach jak i stoją przy barze, sącąc piwo w większości przypadków z

sokiem. Trzy lolity wiją się na parkiecie, wiedzą, co robią. Idealnie, perfekcyjnie wręcz wykorzystują, eksponując zarazem atuty swych ciał. Ich znajomi, dalsi lub bliżsi, co i raz łypią lekko zaczepnie w naszą stronę.

- Okej starczy - przychodzi chwila opamiętania. Co innego gdyby przypałowy transit był dwieście kilometrów stąd.

Bogacz tymczasem nie próżnuje – Daj mi jeszcze chwilę – mówi i zaprasza do stolika tancerkę, po czym siedzi jak ten imbecyl, gapiąc się w jej, nie powiem, bardzo ładne, naturalne piersi.

- Zaraz wracam - komunikuje Klucha. Po chwili wstaje, a następnie idzie w stronę toalet.

Pech chce, że w przejściu potrąca siedzącego przy barze gościa - motocyklistę, dokładnie tego samego, który obcinał mnie na wejściu niczym komornik szafę. Gabarytowo ma sporą przewagę. Widzę jakieś przepychanki, ruszam z pomocą. Zaczyna się awantura. W ruch idzie wszystko, co akurat jest pod ręką.

Piętnaście minut później jedziemy samochodem. Prowadzę. Klucha opatruje rozbity łuk brwiowy, Bogacz tamuje lejącą się z nosa krew. Tylko ja nie krwawię, a przynajmniej nie na tyle mocno, by nie móc prowadzić samochodu.

- Stary tylko patrzeć jak ruszą za nami w pościg – jęczy Klucha – Kurwa, dałbym sobie z nim radę, już go miałem. Po co go dźgałeś?

- Sięgał za pasek po nóż – kłamię. Oczywiście, że gość po nic nie sięgał. Chciałem go załatwić, raz a dobrze. Co do słów, że mój koleżka już go miał, to nie do końca tak było. Owszem trafił go czysto lewym prostym parę razy, nawet zamroczył, ale i solidnie oberwał. Gdybym wiedział, że go młóci, może bym tak ostro z nim nie poszedł.

- Nie było monitoringu, przynajmniej nie widziałem – wtrąca Bogacz – Gdyby nie krzesło, miałbym dodatni bilans walk. Trzech uwaliłem, potem to już tylko lecące krzesło pamiętam.

- Pocieszające jest to, że zaczął się ogólny młyn, pewnie nie zauważyli jak odjeżdżaliśmy.

- Oby tak było.

Nagle, deska rozdzielcza transita zaczyna mrugać, aż w końcu za którymś razem gaśnie.

Siadła elektryka, wraz z nią gaśnie silnik. Jesteśmy załatwieni.

- Ja pierdołę! – Krzyczy wściekły Bogacz.

- No ładnie – dodaje od siebie Klucha.

Nie chce mi się nawet odzywać.

Już po chwili, przy akompaniamencie koncertujących w najlepsze świerszczy, stoimy przy otwartej masce forda, nie mając najmniejszego pojęcia coż dalej począć.

Bogacz grzebie przy silniku, w końcu skończył samochodówkę. Co prawda za łapówki matki i przeszło siedem lat temu, ale skończył. W duchu liczę, że coś tam w głowie mu zostało.

- Przewody dobre, świece dobre, benzyna dochodzi, nie wiem, co mu jest, może alternator siadł. Trzeba będzie holować.

- Może za parę minut odpali.

- Raczej bym na to nie liczył. Chodźcie, zepchniemy go z pobocza najlepiej w krzaki – mówiąc, wskazując odchodzącą od drogi głównej szutrową ścieżkę.

Pięć minut później, bus stoi dziesięć metrów od głównej drogi wojewódzkiej w pobliskich krzakach wilczych jagód.

Plus jest taki, że go na pierwszy rzut oka nie widać, przynajmniej z drogi. Minus taki, że jeżeli ktokolwiek będzie szedł ścieżką i go zobaczy, natychmiast zadzwoni na policję. Krzaki, co prawda w znacznym stopniu zasłaniają auto, jednak nie są na tyle rozłożyste by zasłonić całość.

W takich właśnie sytuacjach człowiek zastanawia się, co jeszcze może go gorszego spotkać.

Otóż może. Chociażby deszcz. Na szczęście akurat ta niedogodność nam nie grozi. Nad naszymi głowami rozciąga się rozgwieżdżone milionami gwiazd niebo, z dużym księżycem w pełni. Istna rozedrgana „Gwiazdzista noc” Van Gogha.

- Proponuję pójść poszukać jakiegoś gospodarstwa. Zholujmy go, aby nie stał na przypale, później będziemy kombinować.

- Od razu mówię sami go nie naprawimy, bez elektryka się nie obejdzie. Najlepiej przenocować i rozejrzeć się rano.

- Stary, jakkolwiek radiowóz i mamy lipę, zobacz, widać, że drogą jest często jeżdżone. W pobliżu muszą być jakieś gospodarstwa. Lepiej go zawlec pod czyjąś chałupę i niech tam stoi.

Jest chwilę po dwudziestej drugiej bez przesady ludzie jeszcze nie śpią.

- Faktycznie nie śpią – mówię kilkadziesiąt minut później, patrząc w stronę rzędu kilkudziesięciu stojących naprzeciw siebie domów. Wszystkie okna mają pozatraskiwane okiennice, drzwi zdają się równie niedostępne. Podwórka sprawiają wrażenie może nie tyle opuszczonych, co mocno zaniedbanych. Wysoka trawa, porozrzucane śmieci, szkielet brązowej od rdzy huśtawki, a w jednym miejscu rdzewiejący wrak samochodu oraz w znacznym stopniu zdemontowany traktor ursus.

Nie wygląda to dobrze. Do tego grząski grunt, aż dziw bierze, że chałupy się jeszcze nie porozpadały.

Pierwsze skojarzenie, miasto widmo.

- O stary, ale akcja. Tego się nie spodziewałem - Bogacz nie jest w stanie ukryć zdziwienia.

Pięć minut później, mijamy ostatni, piętrowy budynek. Czynimy to tylko po to, by za kolejne kilkadziesiąt metrów dojść do końca drogi. Tak dokładnie końca drogi. Nagle utwardzona nawierzchnia kończy się, a zaczyna las. A propos, stoimy właśnie przed pierwszymi rzędami wysokich na kilka metrów sosen. Co by nie mówić, wygląda to, co najmniej dziwnie. Opuszczonych kilkadziesiąt domów, kawałek pola i las. Zrywa się wiatr. Do porywistego sporo mu brakuje, niemniej czuć go.

- Andrzej, chodź przyświeć, tu jest jakaś tabliczka! – Krzyczy Klucha. Bogacz, jako jedyny w naszym towarzystwie pali, ma więc zapalniczkę z rodzaju tych żarowych.

No ładnie. Na tabliczce widnieje napis „Zakaz Wstępu Teren Prywatny”.

Nie tracąc czasu ruszamy w drogę powrotną. Wtedy właśnie dociera naszych uszu kilkukrotny trzask jakby łamiących się pod czyimiś stopami gałęzi. Ktoś nas obserwuje, chcąc za wszelką cenę pozostać w ukryciu.

- Halo, jest tam kto!?

- Ej! Słyszysz mnie!?

Odpowiada nam cisza. Wiatr nieco wzmaga na sile. Nie powiem, czuję się niekomfortowo.

Nie lubię się bać, choć lęk to może słowo użyte w tej sytuacji trochę na wyrost. Niepokój, tak niepokój jest słowem lepiej oddającym to, co czuję. Takie samo wrażenie najprawdopodobniej odnoszą Andrzej z Sewerynem, czego wyrazem jest natychmiastowe sięgnięcie obu koleżków po broń.

Niespodziewanie nastaje cisza, taka z rodzaju idealnych. Ucichł szelest tarמושzonych wiatrem liści, ucichły dochodzące gdzieś z kniei pohukiwania sowy i wycie któregoś z leśnych drapieżników.

Człowiek w takich momentach odnosi wrażenie jakby świat na chwilę stanął w miejscu. Nie mamy ze sobą latarek, ba, nie mamy nawet mogących je zastąpić telefonów. Celowo wszystko zostawiliśmy w Warszawie, a jedyny aparat zaraz po nieszczęsnej transakcji został zniszczony. Mamy jedynie na niewiele się zdającą wspomnianą zapalniczkę.

Znów rozlega się trzask łamanych gałęzi. Odgłos to się zbliża, to oddala. Dokładnie w tym momencie mój umysł zostaje pochwycony w macki panicznego strachu, jakiego do tej pory nigdy nie odczuwałem. Obraz lekko się rozmazuje. Słyszę strzały. Docierają jakby z oddali, w kilkusekundowych odstępach z wolna - niespiesznie. Nie słyszę bicia serca, czuję jedynie jak szaleńczo tłucze, chcąc jakby rozerwać klatkę piersiową.

Nagle czas przyspiesza, wszystko wraca do normy. Mam zaciśnięte obie pięści, Andrzej z Sewerynem raz za razem naciskają spusty, padają kolejne strzały.

Odwrót jest szybki, nawet bardzo szybki. No dobra, nie będę niczego umniejszał, uciekamy ile sił w nogach. Co dziwne Klucha cały czas biegnie przed nami. Gna jakby za sprawą rozpędu, jakiego nabrał na pierwszych metrach sprintu. Zwalniamy dopiero za miastem widmo.

Ledwo łapiemy oddech. Andrzej zaczyna wymiotować, z wysiłku rzecz jasna.

Mając dość nocnych eskapad, czym prędzej wracamy do auta. Oczywiście elektryka jak nie działała, tak w dalszym ciągu nie działa.

- Kurwa mać, co to było!?

- Mów ciszej. Nie mam pojęcia, co to było, pierwszy raz się z czymś takim spotkałem.

Rozmawiamy szeptem.

- Słyszeliście o wiedźmie z Brześć? – Mówi roztrzęsiony Klucha i przykłada palec do ust w geście zachowania ciszy.

Przez dłuższą chwilę nasłuchujemy. Do naszych uszu dociera odgłos coraz bardziej porywistych podmuchów wiatru.

- Czytałem o niej i autentycznie, aż do teraz nie wierzyłem.

- Szczerze? To ja w dalszym ciągu nie wierzę w żadne wiedźmy – mówię, wyglądając na zewnątrz przez boczną szybę auta. Po księżycu w pełni nie ma śladu. Niebo zakrywa czarny nieprzenikniony całun chmur. Nie mija kilkanaście sekund, jak słysząc coraz częstsze, rytmiczne młócenia kropel deszczu. Tłuką zarówno o karoserię forda jak i szutrową drogę.

- Jak to wytłumaczysz? To było... Słyszeliście o drzewcach? Występują w mitologii chińskiej.

- Klucha nie pierdol, masz dwadzieścia pięć lat, IQ sto czterdzieści i wierzysz w wiedźmy i drzewce? To nie to.

- Właśnie dzięki temu IQ, oceniam to, czego byłem przed chwilą świadkiem, jako zjawisko wymykające się racjonalnej, logicznej, zdroworozsądkowej, naukowej przy tym ocenie. Przynajmniej na razie. Swego czasu pasjonowałem się wszelkimi mitologiami. Fakt, to, co czytałem na temat wiedźmy kupy się nie trzymało. Niemniej cykl artykułów „Taśmy Urbex Story” musieliście czytać. Nikt mi nie powie, że ten gość to farmazon, to po pierwsze, no i nie bez powodu mocno interesuje się tym obszarem wojsko. Uwierzcie. To nie jest dzieło przypadku. Mniej więcej w tych rejonach Amerykańce wybudowali odpowiednik swojej strefy jedenaście czy pięćdziesiąt jeden, zawsze mi się to myli. W każdym razie, nie ma opcji, aby tam podejść. Non stop patrolują okolicę. Bez przepustki zapomnij, nawet grzybiarzy aresztują.

- Czytałem „Urbex Story”, tak samo jak „Prison i Tomb Story”... no tak Lubelskie.

- Mimo wszystko, gdyby podejść do tego tak logicznie, zdroworozsądkowo, są zwierzęta polujące w zbliżony sposób, na podobnej zasadzie znaczy.

- Polujące w zbliżony sposób? Co to za zwierzęta, chyba nie z tej planety – szepcze Bogacz, po raz któryś przeładowując broń.

- Na chuj tym bręczysz?

- Niech bydle wie, że mamy broń.

- Wywaliliśmy dwa magazynki, myślisz, że się jeszcze nie zdążyło domyślić. Ile naboju ci zostało?

- Ja wiem? Z jedna trzecia drugiego magazynka.

- Mi to z trzy zostały.

- Wracając do tych zwierząt, jest taki pajak kwietnik, poluje na kwiatach, głównie na pszczoły i osy.

I jedne i drugie mają żądła, musi więc sprawę załatwić jednym ciosem. Precyzyjnym i zabójczym zarazem. Misumena, bo tak się nazywa, wbija kolce jadowe prosto w mózg, błyskawicznie uśmiercając ofiarę. Elementem strategii jest też kamuflaż zależny od podłoża. Przyjmuje odcienie cytrynowy, białe, czerwone – Klucha najwyraźniej odreagowuje stres potokiem wypowiedzanych słów.

- Stary, wbija w mózg, rozumiesz słowo wbija? Następuje kontakt fizyczny.

- No właśnie, to, co nas zaatakowało w pierwszej kolejności oddziałuje na mózg potencjalnej ofiary. Różnica polega na tym, iż jest to atak nie fizyczny, a psychiczny. Paraliżuje strachem, a potem być może uśmierca. Tego ostatniego na szczęście nie wiemy. Nie wszystkie gatunki zwierząt są nam znane, szczególnie w tutejszych lasach. A przecież są jeszcze zbiorniki wodne i coś takiego jak ewolucja. Albo modliszka...

- Nie no, tam też jest kontakt. No i z tego, co mi wiadomo całkiem przyjemny, choć tragiczny dla samca kontakt. Poza tym nimi kieruje instynkt. Zarówno samiec modliszki jak i samica nie myślą. Po prostu robią wszystko w zgodzie z wgranym przez przyrodę programem, instynktem czy jak tam zwał.

- A gdybyś wiedział, że każda kobieta, po kozackim seksie cię zabije, to umawiałbyś się z nimi, czy przez całe życie leciał na ręcznym?

- Ja pierdolę, co to za pytanie?

- Odpowiedz. Wiesz, że jak umocysz, to umrzesz.

- Słyszałem. Kurwa zastanawiam się.

- Weź jeszcze pod uwagę, że od tego zależy istnienie twojego gatunku. Inaczej, poświęciłbyś się dla ludzkości?

- Ja na pewno bym się nie poświęcił.

- Ja chyba też. Nie! Na pewno bym się nie poświęcił. Z drugiej strony całe życie na ręcznym... lipa straszna.

Akurat tutaj jesteśmy z Andrzejem zgodni.

- To teraz, wyobraźcie sobie, jak silny musiałby być popęd seksualny, jaką wizję musiałby wam kreować w umyśle, abyście nie myśleli o śmierci. Podpowiem, musiałby po prostu wyłączyć wam zdrowy rozsądek.

- Przecież to niemożliwe.

- Niemożliwe? A goście robiący ekstremalne rzeczy? Potrzeba strzału z adrenaliny, przyćmiewa im wid-

mo całkiem realnej śmierci.

- Ja wiem tylko, że ich rajcuje właśnie ocieranie się o śmierć. Mają wybór, decydują świadomie. No dobra ale, co to ma wspólnego z tym, co nas dopadło?

- Chodzi o to, że to coś, natężeniem strachu, chciało sparaliżować nasz układ nerwowy. Telepatia, rozumiesz? Chciało pozbawić nas możliwości wyboru na zasadzie walcz – uciekaj. Blokowało instynkt. O takim czymś pisał Glukhovsky...

- Kto?

- Dimitri Glukhovsky w metrze 2033. Opisał tam istoty postępujące...

- W jakim metrze?

Bywają chwilę, w których Andrzej przechodzi samego siebie.

- Mniejsza z tym. To coś chciało odebrać nam zdrowy rozsądek, racjonalną ocenę sytuacji, a poprzez przerażenie pozbawić możliwości działania. Łowca doskonały, rozumiecie? Na przykład taki...

Klucha daje nam mini wykład z najbardziej podstępnych - zabójczych zarazem, technik łowieckich w świecie roślin i zwierząt. Zarówno lądowych, morskich jak i latających. Trzeba przyznać Seweryn potrafi zaskakiwać. Dobrze, że gada, odciągając tym samym myśli od feralnego zdarzenia.

Dopiero teraz z perspektywy czasu, dociera do mnie czegoś tam doświadczyłem. Otóż po kolei. Najpierw usłyszałem trzaski łamiących się gałęzi, to się zbliżały, to oddalały. Potem dopadł mnie strach. Nieodczuwany do tej pory nigdy w życiu strach. Dzwonienie w uszach, doprowadziło do lekkiego otumanienia. Przez chwilę towarzyszyło mi przeświadczenie obcowania z czymś bezwzględny, piekielnie silnym, chcącym, tak jakby wnikać w mój umysł. Pewną odmianę paraliżującego strachu odczuwałem pewnego razu w ZOO. Akurat wybrałem się tam w porze karmienia tygrysa. Nigdy nie zapomnę wzroku ważącego dobrze ponad trzysta kilogramów drapieżnika. Głodna bestia chodząc wzdłuż fosy, łypała na zebrane osoby w sposób, w jaki drapieżnik patrzy na swe potencjalne ofiary. Z jego ślepi biła dzikość, chęć dopadnięcia ofiary i bestialstwo w najokrutniejszej zwierzęcej postaci. Czy można wytrzymać taki wzrok? Tak, można, stojąc w bezpiecznej odległości owszem można. Różnica jest taka, że tam widziałem to w oczach bestii, tu natomiast nic nie widziałem, a czułem.

Mimo, iż byliśmy we trzech jak się okazuje, każdy z nas miał świadomość bycia jedynie nic nieznaczącą potencjalną ofiarą tego czegoś. Można być odważnym, można stanąć naprzeciwko mistrza boksu zawodowego, UFC, podnoszenia ciężarów i tym podobne. Niemniej, w każdym z powyższych przypadków, czuje się, nikłą, bo nikłą, chociażby czysto teoretyczną, ale czuję się szansę wygrania. Stając oko w oko z bestią, nie ma się nawet krzty szansy, nawet odrobiny.

Seweryn tymczasem nie milknie, trąkając niczym nakręcona kataryna.

- Aczkolwiek, całkiem realnych kształtów nabiera teoria, że to ci cholerni wojskowi coś testują. Jakieś fale, działające na mózg, jednocześnie paraliżujące wroga, diabli wiedzą. Przestań przeładowywać, zaczyna mi to działać na nerwy.

- Mnie za to uspokaja.

- To dla uspokojenia zacznij medytować. A jak przypadkowo będą przejeżdżać psy? Co im powiesz?

Z kopytem w rękę, opowiesz historię, z której sam byś się dwie godziny wcześniej śmiał?

- Fakt. Masz rację. A może to przedstawiciel jakiejś obcej cywilizacji. Myślę, że gdyby to coś chciało nas zabić, to by nas tam wtedy dopadło, na pewno jednego.

- Być może przeżyliśmy, dlatego, że temu nie ulegliśmy. Rozumiecie? To coś, nie przejęło kontroli nad naszymi mózgami - uczuciami.

- Nad tobą na pewno nie przejęło kontroli. Napierdałaś w spust jak oszalała.

- Przecież on nie ma uczuć – wtrąca Andrzej w ostatniej chwili powstrzymując się od przeładowania broń.

- Może właśnie dlatego żyjemy. A, co miałem robić? Stać i czekać. Jak byś miał kopyto też byś prażył.

- Pewnie tak, przynajmniej bym próbował – odpowiadam.

Przez całą noc żaden z nas nie zmrużył oka. Nie dało się, nie było takiej opcji. Co i raz w naszą rozmowę wkradała się nerwowa atmosfera. Siedząc z wyostrzonymi do maksimum zmysłami to rozmawialiśmy, to nasłuchiwaliliśmy.

Nie wiem na ile płatały mi figle zmysły, ile dopowiadała wyobraźnia, niemniej raz na jakiś czas słyszałem szmery w pobliżu auta. Choć nie powiedziałem tego na głos, dziękowałem kumplom, że mieli ze sobą broń. Wyraźną ulgę odczuliśmy dopiero równo z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca.

Nieco światła na zaistniałą sytuację rzucił miejscowy gospodarz. Facet skoro świt jechał furmanką na pole. Trzeba przyznać uratował nam chłopina tyłki. Pozwolił, a zarazem pomógł zaciągnąć do siebie na posesję auto, które, o dziwo, ku ogromnemu zaskoczeniu, nagle odpaliło.

Odplaciliśmy panu Mieczysławowi za udzieloną pomoc, jakżeby inaczej, przekazując mu kwotę równą plus minus jego półrocznej emeryturze. Nie muszę mówić, że niemalże rozplakał się ze szczęścia. Podziękowaniom nie było końca. Na sam finał wcisnął nam w dłonie po butelce bimbru.

- Sam robiłem ekstraklasa gwarantuję. Może psiaka małego chcecie?

- No... niekoniecznie panie Mieciu – odparłem.

- Dora mi się oszczeniła. Diabli wiedzą gdzie się złąjdaczyła, jeszcze tego trzeba mi było. Psiaki piękne nie powiem, Dora to Dobermanica, sam diabeł wie czy to wilk był jakiś czy Kaukaz, ki czort. Wyobraźcie sobie w ogóle nie szczekają tylko wyją. Najnormalniej wyją do księżycy, uwierzycie? Pierwszy raz coś takiego w życiu widzę. Wieczorami, to nie da się wytrzymać, musiałem przenieść im kojec z budy pod domem do stodoły. Cztery miesiące mają, a już prawie są z nią równe. Nie mam pojęcia, co z tego wyrośnie. Chcecie zobaczyć?

- Nie, nie panie Mieciu, spieszymy się. Może następnym razem.

- Coś wam powiem, bo dobre chłopaki jesteście. Dobrze radzę, nigdy więcej nie chodźcie w nocy po okolicy. Tu się bardzo złe rzeczy dzieją. Mieliście dużo szczęścia. W tych opuszczonych domach, tam gdzie byliście, od dobrych trzydziestu lat nikt nie mieszka. Ludzie uciekli stamtąd przed tym czymś.

Pamiętam mieszkającą tam Jolantę. Kazała tak do siebie mówić. Pod jej chałupę to z zamkniętymi oczami trafiam. Było, co w rękę wziąć i miała, na czym usiąść – Pan Miecio nam się rozmarzył, o czym świadczyła jego rozanielona mina - Jak się do miasta wyprowadziła, to już patrzeć na żadnego z nas nie chciała, taka dama. A pies ją tam... - starszy pan wrócił do przytomności.

- Na początku wszyscy myśleli, że to watahy dzikich psów albo wilków. To jednak nie były zwierzęta, a przynajmniej nie takie nam znane. Ludzie wariowali, nie dało się tam mieszkać. Kilka razy były organizowane polowania, nic to nie dało. Sam na noc barykaduję drzwi i okna. Spuszczam psy i od zmierzchu do świtu nie wychodzę z chałupy, wszyscy tak postępujemy od lat. Przyzwyczailiśmy się z tym żyć. Ja wam z dobrego serca radzę. Jakbyście byli w okolicy i potrzebowali przenocować, zawsze możecie do mnie zapukać. Moja Jadzka nic przeciwko nie będzie miała. Przecież trzeba sobie pomagać, no nie?

- No tak – odparłem.

- Tam dalej, jak się głębiej w las zapuścicie, on się szybko kończy. Jest tam jeszcze kilka pustych domów. Ale... chyba nie zamierzacie tam łązić?

- Nie, nie, absolutnie.

- Po, co ja w ogóle o tym mówię.

- Spokojnie panie Mieciu, my tu tylko przejazdem.

Tego samego dnia dostarczyliśmy auto na granicę, dobijając tym samym targu.

- Że, co!? Pojechało was? – Pyta Jurij na wieść o przebiegu transakcji - To byli tacy dobrzy złodzieje. Nikt od nich nie będzie chciał mieć ze mną nic wspólnego. Spieprzyliście sprawę i to równo, po całości. Za dużo ćpacie, ciśnienia nie trzymacie!

- Jurij, zero ćpania, daję słowo, po prostu błąd w sztuce, takie rzeczy się zdarzają.

- Takie rzeczy się zdarzają!? Chyba tylko wam! Zdarzyć to się może stłuczka, awaria samochodu, kostka skręcona, złamana noga, potrącenie jelenia, sarny, świni dzikiej, ale nie zabicie pięciu osób. Nie mam pojęcia jak się z tego wytłumaczyć. To dlatego nie odbierają ode mnie telefonów. Pogięło was?

- Sorry.

- Sorry!? Przykro mi, ale na najgorsze rok wypadacie z interesu. Ustalmy tak. Trzy czwarte hajsu z waszej działki przeznaczę na zadośćuczynienia. Powiem, że odjechaliście numer i zapadliście się pod ziemię. Przez ten czas siedźcie na dupach, nie afiszujcie się, a najlepiej, tak jak powiedziałem, zapadnijcie pod ziemię.

- Zapadnijcie pod ziemię? Nie zrobiliśmy banku Rezerw Federalnych! Życie jest drogie.
- Gówno mnie to interesuje, trzeba było najpierw pomyśleć, a nie od razu strzelać.
- To był instynkt, impuls.
- Jesteście psychopaci, nikt się z wami nie będzie chciał umawiać. Pominę kwestię, że mogą chcieć od-
płacić wam pięknym za nadobne. Wybaczcie, ale nie mogę nawet stanąć po waszej stronie. Odstawiliście
numer życia.
- Sorry, głupio wyszło. Ile razy mamy przeproszać?
- Do usranej śmierci. Siedźcie na dupach, nie wychylajcie się, aż sprawa przycichnie. Jedźcie do Peru,
Chile albo, Argentyny, w Ukrainie mogę wam załatwić miejscówkę.
- Peru? Argentyna? Oszalałeś?
- Nie ja, wy żeście poszaleli! Jakby tego było mało, jakieś skurwysyny rozpętali awanturę w Przydroż-
nym Barze.
- Gdzie? – Pytam, przygryzając wargę. Jeszcze tego nam brakowało. Jak już lipa, to po całości.
- W Przydrożnym Barze. To, że była awantura to chuj, co i raz są tam zadymy, tylko, że syn właściciela
wyłapał kosę od jakiś podobno przyjezdnych. Chociaż wyłapał kosę to mało powiedziane, podźgali go
straszenie. Durszlak z niego zrobili, czy sito, jak to się u was mówi. Mniejsza o większość, powybijali mu
zęby. Tyle razy mówiłem żeby zamontować kamery, przynajmniej byłoby wiadomo kogo szukać.
- Przeżył? – Pytam, masując dłońią skroń.
- Przeżył, ale co z tego jak warzywo. Do tego wygląda jak Frankenstein. Co za ludzie, człowiek człowie-
kowi wilkiem. Gówniarz, fakt, był denerwujący, mówiłem, że w końcu się doigra.
- Nie wiedziałem, że masz udziały w knajpie, chętnie byśmy ją zobaczyli.
- Już wy tam lepiej nie jedźcie, przynajmniej na razie. Szkoda gnojka.
- Przykra sprawa. Jeszcze raz przepraszamy, chciałbym powiedzieć, co złego to nie my, ale... po prostu
nie wypada.
- Dobra daj już spokój, po prostu zniknijcie na jakiś czas i nie ładujcie się w problemy. Coś tam macie
odłożone. Na sztuce też zarobicie pokaźną sumkę. Jedną czwartą, bo jedna czwartą, ale trochę tego
będzie. Zaszyjcie się, a z czasem wszystko rozejdzie się po kościach. Tylko nie łańcie z bronią.
- A propos, gdzie wam tak gęby obili?
- Na treningu. Dwa dni temu, sparowaliśmy z mistrzem Europy. Byłem pewny, że może nie tyle dam mu
radę, co nawiążę walkę. Chodził w średniej, wyglądał niepozornie.
- I co?

- No właśnie, nas obył.

Jurij drapie się po czole, marszcząc brwi.

- Tacy niepozorni są najgorsi, nigdy nie wiesz, co po takim się spodziewać. Z tym łukiem brwiowym trzeba było iść na zszycie, będzie się babrać. Był ze średniej? To przecież połowa ciebie – Jurij zmierzył mnie od stóp do czubka głowy.

- Nieuchwytny był. Teraz już za późno na zszywanie, wcześniej nie było czasu.

- Dobra, spadam, czas nagli. Zaszyjcie się gdzieś i z dala od kłopotów, czekajcie na telefon ode mnie.

- Jasne, z dala od kłopotów – odpowiadam, kiwając głową.

Do Warszawy wracamy w milczeniu. Z głośników otrzymanego w rozliczeniu jedenastoletniego volks-wagena golf, sący się Stealers Wheel „Stuck In the Middle with You”.

Na doskonały pomysł wpadamy mniej więcej czterdzieści kilometrów od stolicy.

- A gdyby tak, przez ten rok pomieszkać na wsi – wychodzi z taką oto propozycją Seweryn.

- Ta, już widzę, jak twoja Gośka z moją Marzeną zakasają rękawy do roboty w polu.

- Dlaczego od razu w polu. Na początek zajęłyby się produkcją, powiedzmy nawozu – kwituje z uśmiechem od ucha do ucha Seweryn.

- Akurat temu by sprostali. Przerywając produkcję wizytami u manikiurzystki w Puławach, albo Lublinie.

- Słuchajcie żarty na bok, to wcale nie jest zły pomysł. Pogadamy z panem Mieciem, na pewno jakaś chałupa jest tam po taniości do kupienia. Rok czasu, bez przesady... Cisza, spokój, świeże powietrze, kurki wolno grzebiące, psy o nas zapomną.

- Tak, do tego szambo, noszenie wody wiadrami z przerębła zimą, mieszkałeś kiedyś na wsi?

- Woda z przerębła? Pogięło cię? Mamy dwudziesty pierwszy wiek.

- I niby, co będziemy tam robić?

- Kupimy pole, postawimy szklarnie, pomidorki czerwone, zielone... rozumiesz?

- Zielone? Kuźwa, to jest myśl. Dziewczyny złożą papiery o dotacje unijne. A w wolnych chwilach będziemy polować. Autentycznie mam chęć wytropić to „coś”. Jak „to” upolujemy, może zrobią z nas honorowych mieszkańców. Bądź, co bądź przysłużymy się miejscowym.

- Tylko żeby nie było polowanka w drugą stronę.

- Spokojnie, damy radę. To jak zawracamy?

- Zawracamy!

CDN.

Link do wersji audio MysteryTV:

<https://www.youtube.com/watch?v=S11gc3L8kpI>

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

G.G, dodano 01.08.2022 12:11

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.